

LEGENDA O ZŁYM BIESIE

Może tysiąc, a może dwa tysiące lat temu przywędrowało z daleka plemię pasterzy i osiedliło się na pięknej, bieszczadzkiej ziemi. Przewodził im dzielny i silny San. Zbudowali chaty, zadomowili się. W dzikich górach rozkwitło życie - na pięknych łąkach pasło się bydło, w lasach nie brakło zwierzyny.

Ale nie wiedzieli przybysze, że władcą tej ziemi jest Zły Bies, ogromny i rogaty, latający bezszelestnie nad ich głowami na nietoperzowych skrzydłach. Nie mógł znieść Zły obcych, którzy zagarnęli jego włości, ale nie mógł też pokonać ich w pojedynkę. Stworzył sobie Bies pomocników, na szkodę ludziom. Nazwał ich Czadami. Śmieszne były te Czady: pokraczne, rogate i wesole. A było ich tyle, ile starych drzew w lesie. Na rozkaz Biesa ze złośliwą uciechą rozganiały pasące się na połoninach bydło, wypędzały na poletka dzikie zwierzęta i wraz z nimi tańczyły w zbożu tratując wszystko, co zostało zasiane ludzką ręką. Ludzie karczowali las - a Czady na miejsce zrąbanych drzew sadziły nowe, jeszcze potężniejsze. Złośliwe były i przebiegłe.

Osadnicy nie wiedzieli już, jak się bronić przed Złym i jego pomocnikami. Chcieli uciekać, porzuciwszy domy i dobytek. Ale San, młody wódz, pokochał te góry, zapragnął pozostać w nich na zawsze - wraz ze swoim plemieniem. Poprzysiągł, że pokona złe siły. Pewnego dnia San pracował dłużej niż najsilniejsi drwale. Zasepiał się coraz bardziej, a rady na Złego znaleźć nie mógł. Zapomniał o odpoczynku. Z zaciętością i niezwykłą siłą rąbał najstarsze drzewo w lesie, najbardziej odporne. Nagle San nadstawił uszu: - Ratuj, dobry człowieku! - usłyszał jęk. San pochylił się nad zwałonym drzewem i zobaczył śmiesznego, siwobrodego i rogatego człowieka o wykrzywionej bólem mordce. Domyślił się, że to złośliwego Czada przywaliło drzewo. Z gniewem chwycił za topór. - Powstrzymaj się! - wykrzyknął człowieczek. - Jeśli ja zginę, pomści mnie tysiące Czadów, bo jestem najstarszy w rodzie! Uratuj mi życie, a z pewnością ci się odwdzięczę... San posłuchał rady starego Czada. I nigdy już tego nie żałował. Pokraczne rogate stworzenia polubiły ludzi - i pomagały im, jak umiały. Rozśmieszały najbardziej nawet nieszczęśliwych, rąbały drzewo i jak nikt umiały zabawić dzieci swymi psikusami. Ludzie odwdzięczali się im miseczką mleka i dobrym słowem.

Usłyszał Zły o zdradzie swoich pomocników. Rozsierdził się. Zwołał wszystkie Czady u stóp Tarnicy. Stał na szczycie wielki i gniewny. Potężne skrzydła zasłoniły słońce. - Pomagacie ludziom, zamiast czynić zło! - huknął. - Sprzeniewierzyliście się mojej woli! Ale nie minie was kara... Jak was stworzyłem, tak zniszczę! Złośliwy chichot zdawał się przetaczać całą wieczność nad struchlałymi diablikami. Przeraziły się Czady nie na żarty. Pobiegły do Sana. - Ratuj nas! Spodobało nam się życie wśród ludzi, nie chcemy zginąć! - błagały Czady.

Długo naradzali się najstarsi i najmędrsi członkowie rady plemienia. Dumali, jak zwyciężyć złego Biesa. Na koniec odezwał się najstarszy Czad: - Jest tylko

jeden sposób. Zwyciężyć Złego może jedynie najsilniejszy z ludzi! I tylko o świcie, gdy Bies odpina czarodziejskie skrzydła i pozbawiony magicznej mocy kapie się w najszerszej rzece tej ziemi, w najpłytszym jej miejscu, bo nie umie pływać. Ale i bez skrzydeł jest tak silny... Zasmucili się wszyscy. A San poprzysiągł w duchu, że zwycięży Złego, choćby sam miał zginąć. Nazajutrz stary Czad zaprowadził Sana nad rzekę. Roześmiał się Bies złośliwie na widok człowieka z toporem. Nie próbując nawet sięgnąć po nietoperzowe skrzydła, ruszył do walki. Był bardzo silny. Zręcznie umykał ciosom sanowego topora. Ostrze napotykało tylko skaliste dno rzeki. A jednak wkrótce poczuł Bies, że godnego siebie spotkał przeciwnika. Przerażony, próbował schwycić i przypiąć magiczne nietoperzowe skrzydła. Ale stary Czad odrzucił je daleko. Odwdzięczył się Sanowi za uratowanie życia. Walka trwała długo. Nagle najstarszy i najmądrzejszy z pasterzy spostrzegł, że i San traci siły. Z rozmachem cisnął diabelskie skrzydła w wodę. Dziwny czar tkwił w nietoperzowych skrzydłach - nagle rzeka zyskała całą moc Biesa. Płynęła teraz groźna, pienista, potężna. Wartki nurt porwał obu przeciwników. Gdy następnego dnia wody opadły, na porąbanym toporem Sana dnia znaleźli ludzie dwie splecione w śmiertelnym ucisku postaci.

Oddając hołd odwadze swojego wodza, jego imieniem ochrzczili osadnicy wielką rzekę. I pozostał dzielny San na ziemi, którą pokochał - tak jak tego pragnął. Pozostało porąbane toporem dno rzeki i... Czady, śmieszne, rogate i psotne stworzenia które nadal żyją w starych drzewach. Po staremu pomagają ludziom, a nocą opowiadają w dziecięcych snach najpiękniejsze baśnie. A na wędrowców - rzucają czar, który sprawia, że nigdy nie mogą zapomnieć tych gór.

TRAGEDIA NA URWISKU „KAMIENNEJ LAWORTY”

Tam gdzie Kamienna Laworta schodzi urwiskiem, ku nurtowi Strwiąża, na wieczną pamiątkę tragicznego wydarzenia postawiono krzyż. Nie zachowały się dokumenty, by można z nich było wyczytać, kiedy lokowano osadę u zbiegu dwóch rzek, Jasieńki i Strwiąża, której kniaziowie przyjęli miano Ustrzyckich. Było to zapewne gdzieś około połowy XV stulecia.

Akcja legendy rozgrywa się sto lat później. Krajnik Mikołaj Ustrzycki miał trzech synów. Dwaj starsi na rycerzy prawych wyrosli, ku chwale Rzeczypospolitej i rodu. Ale najmłodszy Iwanko, ten zmartwień ojcu przysparzał co niemiara. Kiedy lat młodzieńczych dorósł, ani do rycerstwa, ani do gospodarstwa zapachu nie okazywał, tylko w trunkach i kartach się rozsmakował, i za białogłowymi uganiał. Trwonił swoją młodość na zbytkach niepomny przestroóg ojcowskich. Matka na intencję jego opamiętania, kilka mszy nawet zamówiła.

Upatrywał sobie Iwaszko pannę jedną w Hoszowie, córkę tamecznego kniazia. Ale nijak nie mógł jej zdobyć, bo cnotliwa była nad podziw i wianek swojemu mężowi ślubowała. Nic tylko odmienić się i żenić wypadało, jeśli pannę chciał

posiąść. Ale Iwaszko jej nie miłował prawdziwie, tylko ku płoczej, a grzesznej zabawie chciał skłonić.

Kiedy wszystkie jego zabiegi spełzły na niczym, umyślił sobie pannę porwać i siłą ją zniewolić. Dobrał sobie kilku takich jak on, z Belzebuba pomiotu towarzyszy, i z wieczora na dwór kniazia w Hoszowie najechał i pannę uprowadził. Ojciec porwanej przytomny zdarzeniu, czeladź zebrawszy, w pogoń natychmiast ruszył. Dopadł kniaź Iwaszkę już w Ustrzykach nad Strwiążem, u stóp Kamiennej Laworty. Iwaszko chcąc ująć pogoni, konia [javascript:Otworz\(340,500,'obr/skarpa.jpg','autor:W.Skiba'\)](#)przymusił, by ten na skałę się wspiał, bo już nie raz był czynił z powodzeniem. Ale tym razem koń podwójnie obciążony, bo Iwaszkę z panną dźwigał, już pod samym wierzchem potknął się i w dół runął. Upadek był tak nieszczęśliwy, że zginął Iwaszko razem z panną, a koń nogi połamał.

Rozpacz hoszowskiego kniazia była wielka. Zabrał spod skały swoją nieżywą córkę i życząc duszy Iwaszki piekła, odjechał. W rocznicę śmierci swojej córki postawił na skale krzyż, który Ustrzyccy obalili i swój postawili. Potem wszakże i krzyż Ustrzyckich skutkiem starości upadł. Dobrzy ludzie na pamiątkę tamtego zdarzenia, nowe krzyże stawiali. I przetrwał ten obyczaj aż do naszych czasów.